

# Ciąg dalszy podróży krymskiej...

**K**iedy wreszcie wyzwoliliśmy się z serdecznych objęć weselników, ruszyliśmy w kierunku Krymu. Z Berdiańska do Melitopolu, wąskim przesmykiem z Czernihowa do Dżankaju okrążyliśmy Morze Azowskie, aby zatrzymać się w Teodozji. Początkowo dość smutny krajobraz. Po obu stronach przesmyku wypalona od gorąca i pożarów ziemia. Przybrzeżna płycizna z grubą taflą soli. Dopiero za znakami Autonomicznej Republiki Krymu teren się ożywił. Przy wjeździe nikt nie interesował się samochodami osobowymi, a tylko ciężarówki stawały obok punktów wyglądających na odprawę celną. Zaintrygowali nas sprzedawcy suszonych ryb i kawioru (o wyraźnie tatarskich rysach twarzy), którzy rozłożyli swe stragany po obu stronach jezdni. Dalej coraz więcej zieleni i pierwsze winnice. Późnym popołudniem dotarliśmy do przedmieścia Teodozji. Na rogatek czekał łowca turystów z dużym plakatem zachęcającym do wynajęcia mariny. Za jego wskazówkami podjechaliśmy pod wiadomy adres. Taki system stosowaliśmy w czasie całej krymskiej podróży. Skoro świt pobudka, śniada-

nie i dalej w drogę do następnego ciekawego miejsca. Odwiedziliśmy więc Rybacze, Sudak, Ałusztę, Jałtę i Ałupkę – zazwyczaj zostawialiśmy samochód na parkingu i szliśmy zwiedzać okolicę... W Teodozji właścicielką mariny była starsza sympatyczna pani o słowiańskim typie urody (jak się później okazało, była mamą właścicielki – lekarki z Moskwy).

Wąskimi schodami wdrapaliśmy się na górę, aby zobaczyć nasze lokum. Czyściutko, wygodne tapczany, ładne pościele, porządna łazienka i kącik kuchenny – wszystko to niedrogo (bo to koniec sezonu, druga połowa września). A kiedy okazało się, że płacimy konkretną walutą, mogliśmy także naszego golfa zaparkować wewnątrz, za metalową bramą.

Jeszcze za widoku udało się zejść do ciepłego morza – zaledwie kilkadziesiąt metrów od naszej kwatery. Kąpiących się niewielu, miły powiew wiatru i w oddali światła cumujących statków. Następnego poranka udało się nam przekroczyć bramę Koktebela – krainy koniaków. Gdy już sprawnie zaparkowaliśmy samochód, ruszyliśmy w poszukiwaniu statków rejsowych po Morzu Czarnym. Wypadało obejrzeć Krym od strony morza. Wrażenie niesamowite, gdy mała chwiejna łupinka z grupą ciekawskich posu-



wa się po wzburzonym morzu u podnóża Półwyspu Krymskiego. Wszystkie mijane stateczki były dziwnym trafem dużo większe od naszego. Skalny nawis nad naszymi głowami wyglądał groźnie i majestatycznie. Miłym przerywnikiem były Złote Wrota, gdzie w drodze powrotnej stateczek zacumował i odważni śmiałkowie mogli wziąć kąpiel nad dwustumetrową głębinią. Nikt nie mógł wtedy przewidzieć, że był to jedyny niesztormowy dzień w całej naszej podróży. W nadchodzącym tygodniu dane nam było oglądać Morze Czarne tylko od strony lądu... Cdn.

MAREK WALKIEWICZ  
PRZEWODNICZĄCY KOMISJI  
WSPÓŁPRACY  
MIĘDZYNARODOWEJ WIL

